WOŁANIE

Nr. 26 (30)

Kraków, maj 2002

SPIS TREŚCI:

1. Tatry lat dawnych: Odkrycie i zdobycie Tatr str. 3
Jan Alfred Szczepański
2. Chodzić, czy nie chodzić str. 26
Jan Alfred Szczepański
3. Rakietą po Polsce str. 34
Małgorzata Bilczewska
4. Górami pisane str. 36
Jalu Kurek

Od maja 1987 roku ukazało się 30 zeszytów Wołania

Opracowanie: Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, Oddział Kraków, Członek Wspierający TOPR.
Adres dla korespondencji: Andrzej Słota, 30-150 Kraków, Armii Krajowej 83/131.
Telefony: 012 638-01-54, **e-mail:** slota@tf.com.pl
Lokal: Dom Kultury „Podgórze" ul. Krasickiego 18/20. Dyżury Towarzystwa odbywają się co dwa tygodnie we wtorki, w godzinach 18 - 19.30
Redaktor: Andrzej Słota, zespół redakcyjny: Barbara Morawska-Nowak, Maciej Mischke.
Wpłaty na rzecz Towarzystwa mogą być dokonywane na rachunek:

PTT, Zarząd Główny, PKO I/O Kraków, nr. 10202892-162809-270-1-111
PTT, Zarząd Główny, PKO I/O Kraków, nr. 10202892-162942-270-1-111

Emblemat na okładce rysowała Zofia Nowak
Skład komputerowy: Andrzej Słota

PL ISSN 0660-8679

Łamanie i druk zakończono: 15 maja 2002

WOŁANIE

Magazyn dla członków Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i członków wspierających TOPR

Tatry lat dawnych

W tym roku mija sto lat gdy utworzona została Sekcja Turystyczna Towarzystwa Tatrzańskiego. Są spory, co ścisłości tej daty, bowiem pierwsze zebranie S.T.T.T. odbyło się dopiero rok później, niemniej jednak w roku 1902 wszystko się zaczęło.

Powstała Sekcja Turystyczna Towarzystwa Tatrzańskiego postanowiła „bardziej fachowo" zająć się tatrzańską turystyką, do tej pory korzystającą z usług górali-przewodników. Odkrywane w coraz większym stopniu piękno Tatr spowodowało, że „taterników", czyli w tym okresie osób zwiedzających te góry stale przybywało.

To już nie chodziło tylko o jak to było w czasach Tytusa Chałubińskiego odbycie „wycieczki", lecz planowane i specjalnie zorganizowane wierchowe, lub ścianowe przejścia - będące nie rzadko - zarazem pierwszymi, zdobwczymi.

Zachodziła potrzeba uczenia nowych adeptów taternickiego rzemiosła właściwego zachowania się w trudnym terenie skalnym, tak by za wszelką cenę uniknąć nieszczęśliwych wypadków, na które każdy przebywający w wysokich partiach skalnych jest narażony. Umiejętność właściwego posługiwania się sprzętem asekuracyjnym, który w Tatry powoli i stopniowo docierał z Alp stała się nieodzowna. To już nie to samo, co dolinne „przechadzki", lub chodzenie po upłazach, gdzie kłopotów z poruszaniem się w górach nie miały nawet damy w długich sukniach, czy też pelerynach.

Rozwijająca się z roku na rok S.T.T.T. skupiła w swych szeregach wielu ludzi, pionierów turystyki tatrzańskiej, o znanych dziś nazwiskach, które trwale wpisały się w taternicką, później powiązaną bardzo ze sportem działalność. Dzięki nim powstał Klub Wysokogórski, który potem przyczynił się do supremacji Polaków w latach 80-tych ubiegłego stulecia na wielu Szczytach Świata, szczególnie tych najwyższych w Himalajach. Być może nie byłoby tak wielkich sukcesów Jurka Kukuczki, Wandy Rutkiewicz, Krzyśka Wielickiego i im podobnych, gdyby nie rok 1902. Wszystko zaczęło się w tym roku utworzeniem Sekcji Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego. Pamiętajmy o tym.

Publikujemy powstały w latach 60-tych tekst Jana Alfreda Szczepańskiego, który przedstawia dzieje tatrzańskiej turystyki od jej początków, pod kątem osiągnięć człowieka w Tatrach.

Odkrycie i zdobycie Tatr

W ogromnym, od Dunaju do Dunaju, łuku Karpat jedno gniazdo górskie, wysokością sięgające ledwie granic wiecznego śniegu, a więc pozbawione lodowców, ma charakter w pełni wysokogórski, alpejski. To Tatry.

„Polowac" tatrzański i „zbójnik"

Tatry Wysokie, wspaniałe, choć na małej przestrzeni, gniazdo dolin złomiskich i wiszących, skalistych szczytów i urwistych turni, wymarzony kraj dla turysty i sportowca.

Pono już człowiek jaskiniowy docierał do tych gór, chronionych przez bagniska, puszcze, surowy klimat, dzikie zwierzęta. „Montes, quibus nomen est Tritri" czytamy w czeskiej kronice Kosmana pod datą 973 roku - za niezbyt wiele lat święcić więc będziemy millenium „odkrycia" Tatr. Zamieszkiwali już w tych czasach podnóża Tatr od północy górale polscy, od południa pokrewni górale słowaccy. Wyludnione po najazdach tatarskich rejony na południowy wschód od Tatr, krainę nazwaną Spisz, skolonizowali w XIiI wieku Niemcy, którzy odeszli z tych terenów w połowie XX wieku. Z Polaków, Słowaków, Niemców spiskich rekrutowali się pierwsi historyczni

Mała Łąka i Dolina Pięciu Stawów Polskich (wg.drzeworytów Bogusza Zygmunta Stęczyńskiego z połowy XIX wieku)

wędrowcy w Tatry - pasterze, awanturnicy, zielarze, górnicy, myśliwi... - do których dorzucić jeszcze trzeba pasterzy wołoskich.

Pasterze, juhasi, byli bodaj pierwszymi ludźmi, którzy wypasając owce dotarli do niektórych wysokich przełęczy i na upłaziaste wierchy. Jeszcze śmielej poczynali sobie myśliwi, kłusownicy, „polowace" - w pogoni za niedźwiedziem czy kozicą niejedną przełęcz przebywali, na niejeden wierch się wdzierali, nawet na niejeden szczyt wdrapywali. Przyjmuje się, że kłusownicy i juhasi byli pierwszymi ludźmi na takich wyniosłościach, jak Jagnięcy Szczyt, Szeroka Jaworzyńska, Młynarz, Wołoszyn. Mniejszą natomiast, niż się ogólnie przypuszcza, aktywność w poznawaniu Tatr wykazywali zbójnicy, uchodzący w góry i kryjący się w ich zakamarkach w imię „ślebody". Tym zbójnikom zdarzało się nieraz przekradać z Polski do Węgier i na odwrót, ale na szczyty nie wchodzili. I warto dodać, że tak przez poetów idealizowany sławny zbójnik Juraj Janoszik z Terchowej (powieszony w Liptowskim Mikułaszu w 1313 roku) - znany u nas pod imieniem Janosika - w ogóle w Tatrach nie był.

Bardzo wcześnie natomiast, gdyż już w XVI wieku wtargnęli w głąb Tatr poszukiwacze skarbów, mędrkowie z ludu, plebeje lub drobnomieszczanie, którzy wydumali sobie, że skoro z gór

Dolina Białki (sztych A. Gorczyńskiego z 1840 roku)

nie ma żadnego namacalnego pożytku, to niewątpliwie dlatego, iż Bóg poukrywał w nich niezmierzone skarby, godną zdobycz dla cnotliwych śmiałków. Poszukiwacze skarbów nie tylko penetrowali góry, ale też niewprawnymi dłońmi pisali na ich temat „spiski", czyli przewodniki, w drodze do zaklętych jaskiń. Pewna ilość tych przeważnie anonimowych „spisków", polskich i niemieckich, uchowała się do naszych czasów, kilka z nich ogłoszono drukiem. Największy rozgłos zdobył sobie „spisek" niejakiego Michała Hrosieńskiego, pochodzący już zresztą z XVIII wieku, opublikowany w 1905 roku. Spisek ów zaczyna się tymi słowy: „Opisanie ciekawe gór Tatrów za Nowym Targiem, na cały świat słynących, wszelkimi klejnotami i bogactwem ozdobionych", a wiedzie do legendarnego Żabiego Jeziorka u stóp Siedmiu Rygli - zapewne Jaworowe Turnie - a także do Morskiego Oka i Pięciu Stawów Polskich. Hrosieński nie zapomina o należytym wyekwipowaniu poszukiwaczy. Poleca im zabrać: „różne świątobliwości, czyli dewocje, jako to świecę gromniczną, palmę, dzwonek loterański, wodę święconą Trzech

Królów i krydę święconą, mirę, ziółka święcone do kadzenia, szpagat nasmarowany wężowym sadłem, zmieszanym ze szczupakową

Morskie Oko w Tatrach (szytch Stęczyńskiego z 1847 roku)

żółcią, bo od tych dwóch tłustości duchowie uciekają". Taki miał być więc rynsztunek pierwszych tatroznawców, ale Hrosieński nie zapomniał także o wyekwipowaniu bardziej praktycznym, bo polecał brać ze sobą „magnes", to jest „kompas", perspektywę (lornetkę) oraz haki skalne („śpilki stalowe") i młotek.

A prawdziwi prekursorzy turystyki, owi „admiratores naturae", którzy, chociaż na jurnie j liczni, też się przecież po jawili w Tatrach? Czytamy w jednej z kronik miasta Kiezmarku, że na wiosnę 1565 roku żona kasztelana Hieronima Łaskiego wraz z licznym towarzystwem urządziła wycieczkę w Tatry - zapewne nad Zielony Staw Kiezmarski. Jest to chronologicznie pierwsza zapiska, odnosząca się do dziejów turystyki na obszarze Tatr, i możemy być dumni, że jest związana z polskim imieniem zarówno Łaskiego, jak i jego żony.

Niebawem rozwinęło się na Spiszu coś w rodzaju regularnej turystyki w rejon Łomnicy. Niejaki Dawid Frólich, później rektor liceum w Kiezmarku, wszedł w czerwcu 1615 roku jako młody chłopiec w liczniejszym gronie na wysoki szczyt, identyczny za-

pewne z Kiezmarskim Szczytem, i szeroko się o tym wejściu rozpisał w swej książce „Medulla Geographiae", wydanej w 1639 r. Opis podobnej wycieczki pozostawił anonimowy autor „Węgierskiego albo Dackiego Simplicissimusa", książka wydanej we Fryburgu w 1683 roku. Simplicissimusa, młodego studenta węgierskiego, i jego kompanów prowadził na szczyt obeznany z terenem przewodnik. Posługiwał się on sprzętem turystycznym, jak liny, a na wierzchołku wręczył Simplicissimusowi za osobną dopłatą pergamin, pióro i inkaust, by dołączył swój podpis do innych, zostawionych na wierzchołku w puszce blaszanej. Szczegóły te są zdumiewające i świadczą, że w „Spiskach Górach Śnieżnych" rozwijała się turystyka, o jakiej w ówczesnych Alpach ani się śniło.

Wzięliśmy natomiast udział, i to niemały, w naukowym badaniu Tatr, prowadzonym od strony Spisza sporadycznie już w XVII

Stanisław Staszic, Seweryn Goszczyński i Wincenty Pol

wieku, a systematycznie od wieku XVIII. Zwłaszcza nazwisko jednego uczonego zajaśniało tu pełnym blaskiem Stanisław Staszic, mąż stanu i jedna z najwybitniejszych postaci polskiego Oświecenia, badał Karpaty już od 1189 roku, a Tatry zwiedził w latach 1803-1805. Owocem naukowym jego podróży stała się fundamentalna praca „O ziemiorodztwie Karpatów i innych gór i równin Polski". Jako czynny, nieustraszony badacz-turysta zdobył Staszic m. in. Kołowy Szczyt około 5 sierpnia 1805 roku, pierwszy z Polaków wszedł na Sławkowsk,i Szczyt i Krywań, po czym wdarł się na Łomnicę, uchodzącą wówczas za najwyższy szczyt

w Tatrach. Na wierzchołku Łomnicy spędził Staszic noc z 21 na 22 sierpnia 1805 roku, dokonując pomiarów i obserwacji naukowo-przyrodniczych. „Wyniki, jakie Staszic w wędrówkach po Tatrach osiąga, były na swoje czasy tak niezwykłe, tak wyjątkowe, że zadziwiać i zdumiewać muszą" pisano o nim później. Staszic zastał wówczas Tatry legendarne, baśniowe, pełne dziwów i duchów - zostawił Tatry naukowe, otwarte dla badaczy i turystów. Był turystą doświadczonym, zaprawionym w pokonywaniu niebezpieczeństw, a jaki miał emocjonalny stosunek do gór, niech poświadczą jego własne myśli na szczycie Łomnicy: „Wy ogromne grobowiska przeszłych wieków! Wy najtrwalsze pomniki dla wieków przyszłych, w niedostępną wzniesione wysokość, w obłokach utykając wasze szczyty, wy zachowacie niezgubne imię Polaków. Żadnym gwałtem ludzkim niedosięgnione, wy zachowacie ten znak i podacie to wiekom następnym świadectwo, że pierwszy, co na waszych wystrychłych stanął rypach, był Polakiem".

Działalność turystyczna Staszica w Tatrach stała się kamieniem węgielnym taternictwa polskiego i nie tylko dlatego, że była pionierska; w Tatrach, górach mniej wówczas znanych niż dziś

Fragment panoramy Tatr Wysokich (według „Ziemiorodztwa Karpatów" Stanisława Staszica z 1815 roku)

Himalaje, okazał się Staszic turystą nad możliwości swego pokolenia śmiałym, torującym nowe drogi. Dorównać wyprawom Staszica zdołano dopiero po pół wieku, a przewyższyć je - dopiero u schyłku XIX stulecia.

Żaden też po Staszicu naukowiec polski nie zdołał sobie zdobyć pod tym względem równej jemu pozycji. I to pomimo że wielu profesorów i badaczy wędrowało w głąb Tatr, i że niektórzy z nich zdobyli sobie nawet wybitne imię w taternictwie, jak Marian Smoluchowski, Walery Goetel, Marian Sokołowski.

Już około 1830 roku rozpoczyna się regularny ciąg turystów w Tatry i w tym sensie należałoby zasługę „odkrycia Tatr" przypisać raczej takim podróżnikom-literatom, jak Seweryn Goszczyński, Ludwik Pietrusiński, Bogusz Zygmunt Stęczyński, Kazimierz Łapczyński, Łucja Rautensztrauchowa, Maria Steczkowska, Deotyma... - i raczej takim podróżnikom-profesorom, jak Józef Kremer, Wincenty Pol, Feliks Berdau, Kazimierz Wodzicki, Maksymilian Nowicki, Ludwik Zejszner, Bronisław Gustawicz, Marian Łomnicki... niż późniejszej o parę dziesiątków lat działalności Tytusa Chałubińskiego, któremu z czasem przyznała opinia publiczna tę zasługę. Ta sama opinia niesłusznie wyniosła na taternicki piedestał księdza Pleszowskiego, proboszcza spod Kęt: nazywano go nawet „królem Tatr", chociaż ks. Pleszowski poznał w Tatrach szczytów niewiele i na żaden szlak odkrywczy nie wstąpił. Natomiast Kremer powtórzył już przed 1844 rokiem wejście Staszica na Łomnicę, a tego samego dokonał Pietrusiński w 1845 roku, przy czym obaj napisali o tych wejściach poczytne w swoim czasie wspomnienia. Na Kościelec wszedł jako pierwszy turysta Berdau w 1854 roku. Od połowy XIX wieku odkrywaniu Tatr dopomagać zaczęły coraz liczniejsze utwory literackie. Badania Zejsznera posunęły naprzód wiedzę naukową o Tatrach. Nawet ofotografowane zostały już Tatry w 1858 roku: zasługa zawodowego fotografa z Krakowa, Walerego Rzewuskiego.

O rozwoju turystyki tatrzańskiej „wszerz" świadczy z owych lat najlepiej fakt, iż przy Morskim Oku powstał już w 1834 roku schron dla turystów, co prawda nie zagospodarowany; o jej rozwoju „wzwyż" - fakt, że trafiały się już wówczas takie wycieczki,

jak pierwsze wejście na Zmarzłą Przełęcz Jakuba Krauthofera i górala Jana Pary w sierpniu 1842 roku.

Dwaj turyści stanęli w owych latach na czele penetracji Tatr, dwaj wybitni eksploratorzy, którym przypisać należy rolę głównego ogniwa pomiędzy Staszicem a epoką Chałubińskiego. Byli to: Eugeniusz Janota, oraz Józef Stolarczyk. Nazwano ich „pierwszymi taternikami polskimi" i nie bez racji, bowiem w ich działalności górskiej, przemyślanej i systematycznej, pierwiastek turystyczno-odkrywczy, poniekąd nawet sportowy, odegrał niemałą rolę.

Janota, pastor i profesor, chodzi w Tatry regularnie od 1852 roku. I on to jako pierwszy turysta staje wraz z Gustawiczem i Stanisławem Librowskim, a pod wodzą Macieja Sieczki, na głównym wierzchołku Świnicy 22 lipca 1867 roku; wchodzi potem pioniersko na Kozi Wierch i na Granaty. Pióra Janoty jest też „Przewodnik w wycieczkach na Babią Górę, do Tatr i Pienin", wydany w 1860 roku - pierwszy polski przewodnik po Tatrach.

Stolarczyk, długoletni proboszcz parafii zakopiańskiej, jeszcze bardziej wyróżnił się w taternictwie, jakkolwiek, otyły i ociężały w starszym wieku, musiał wydatnie korzystać z pomocy górali. Stolarczyk był już bezpośrednim zwiastunem taternictwa okresu następnego. Spośród jego wcale licznych wypraw w głąb Tatr największy bodaj rozgłos uzyskało zdobycie Baranich Rogów 17 września 1867 roku. Stolarczyk zeszedł też jako pierwszy turysta z Rysów do Morskiego Oka. Sam Stolarczyk zanotował zaś pod rokiem 1867 w swej „Kronice Parafii Zakopiańskiej":

„Dnia 13 września o godzinie pół do pierwszej z południa wyszedłem ja, Pleban, z Jędrzejem Walą, Szymkiem Tatarem, Wojciechem Kościelnym i Wojciechem Ślimakiem pierwszy na Szczyt Lodowaty, dotychczas za niedostępny wiany, na którym rzeczywiście jeszcze żaden Tourista nie był. Tym sposobem byłem już na wszystkich szczytach, oprócz jeszcze Gerlachowskiego, i poznałem całe Tatry". Dodajmy: na Gierlachu stanął Stolarczyk dnia 22 września 1874 roku, wiedziony przez czterech przewodników: było to pierwsze polskie wejście na ten rzeczywiście najwyższy szczyt całego łuku Karpat z Tatrami włącznie.

Działalność Stolarczyka, Janoty, Zejsznera i pokrewnych im turystów ówczesnych promieniowała szeroko: około 1870 roku

turysta polski w Tatrach nie tylko nie jest już rzadką i osobliwą postacią, lecz jest zjawiskiem pospolitym. Czego mu jeszcze bra-

Ksiądz Józef Stolarczyk, Euganiusz Janota, Ludwik Zejszner

kowało - to organizacji, która by poszczególne, nie skoordynowane wysiłki „zestrzeliła w jedno ognisko" oraz taternika, którego autorytet byłby większy, niż powaga skromnego proboszcza góralskiej wsi. Taternikiem takim okazał się dr Tytus Chałubiński, który zaczął regularnie wyprawiać się w Tatry od 1873 roku, a organizacją - Towarzystwo Tatrzańskie założone w tym samym roku.

Tytus Chałubiński, uczestnik powstania węgierskiego w 1849 roku i wydarzeń w Polsce w latach 1860-1862, jeden z najwybitniejszych lekarzy polskich ubiegłego wieku, nie był ani „odkrywcą Zakopanego", jakim stał się w powtarzanej do dziś obiegowej ocenie, ani „królem Tatr", jak go nieraz nazywano. Już sporo lat ,przed wyprawami Chałubińskiego turystyka tatrzańska była bardzo ożywiona i w stałym rozwoju, co więcej, nie brakowało wówczas turystów śmielej nawet niż Chałubiński wdzierających się w głąb gór.

A jednak trzeba przyznać, że omyłka opinii była mniejsza, niżby pewne fakty pozwalały sądzić, trzeba stwierdzić, że wyjątkowa i przełomowa rola Chałubińskiego w polskiej eksploracji Tatr nie może być pomniejszona. Dopiero bowiem jego wystąpienie nadało rozproszonym, wciąż jeszcze pionierskim poczynaniom charakter ruchu zorganizowanego o zasięgu ogólnopolskim i w swoich najlepszych osiągnięciach - turystyczno-taternickim. I

dopiero działalność Chałubińskiego stworzyła z Tatr i taternictwa pojęcia bliskie, zrozumiałe dla szerokiego ogółu.

Jakie były tego przyczyny?

Stało się tak nie tylko dlatego, że Chałubiński był osobistością znaną przede wszystkim w Warszawie, w Królestwie Polskim i że jego przykład pociągnął wielu, których nie mógł pociągnąć przykład Pola, Zejsznera, Janoty, Stolarczyka... Najważniejsze jest to, że Chałubiński wniósł nowy element w turystykę tatrzańską: ujął ją jako swoistą egzotykę, przeniósł poniekąd na rodzimy grunt tatrzański sposoby i założenia głośnych w owych latach podróżników afrykańskich, takich jak Livingstone i Stanley. Egzotyzm pod bokiem, w kraju, za tanie pieniądze, namiastka wielkiej przygody bez podróżowania za morza, przygoda, której każdy niemal mógł być uczestnikiem - czyż to nie było prawdziwe odkrycie Tatr dla społeczeństwa, odkrycie tak mało znanych jeszcze wówczas skalnych Tatr?

Chałubiński potraktował górali jako lud egzotyczny o swoistej kulturze, lud, którego góral Jan Sabała Krzeptowski był herosem, a zarazem bardem, ba, Homerem. Chałubiński stworzył sławę

„Obóz Chałubińskiego" - według obrazu Tadeusza Ajdukiewicza

Sabały, którą poszerzyli następnie, gdy już Chałubińskiego nie stało, Witkiewicz, Tetmajer, Sienkiewicz, a po nich plejada po-

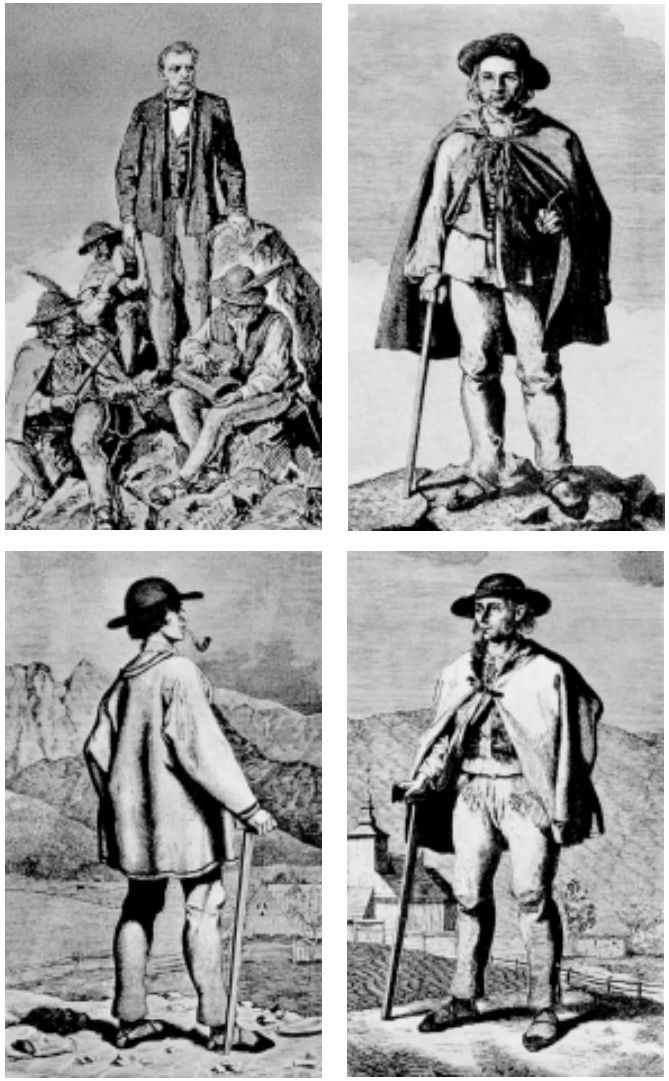

Tytus Chałubiński z góralami. Najstarsi przewodnicy góralscy - Maciej Sieczka, Szymon Tatar i Jędrzej Wala (rysunki wg. Walerego Eljasza Radzikowskiego)

mniejszych pisarzy, aż do współczesnych epigonów. Chałubiński wyruszał w Tatry z całym „kierdelem" górali i „dworem" przyjaciół z miasta. Styl jego wypraw, dziś już legendarny, tak opisał w 1913 roku Mieczysław Świerz: „Przy dźwiękach dzikich, ponurych melodii, wydobywanych z gęśli i basów, zapuszczano się w tajemniczą głąb tak mało jeszcze zbadanych i udostępnionych gór; skalne sklepienie koleb, gęste sploty świerków lub samo tylko wygwieżdżone niebo, rozpięte nad turniami, zastępowały turystom dachy dzisiejszych schronisk; potężnym płomieniem buchające watry, na które szły całe smreki, rozpraszały cienie nocy i chroniły przed zimnem, a gdy szron omszył ziemię i chłód zbyt począł dokuczać, wówczas dźwigały się z posłania postacie śpiących i Sabała skracał czas opowiadaniem, „jak to Pan Jezus babe z psiego ogona, a nie z Adamowej kości urobił", lub też wskrzeszał legendy walki z Liptakami lub niedźwiedziami.

W rzeczywistości nie posunęły jednak wyprawy Chałubińskiego i jego „świty" znajomości Tatr naprzód - taternictwo węgierskie ma w owych latach piękniejsze osiągnięcia. Ale Chałubiński przydał wyprawom tatrzańskim blasku i opromienił je chwałą wielkiego czynu, chociaż sam napisał tylko jedno wspomnienie w 1819 roku „Sześć dni w Tatrach". O rozgłos postarali się inni, zwłaszcza Bronisław Rajchman, którego opisy wypraw z Chałubińskim zyskały szeroką poczytność, a jeden z nich wydany został drukiem osobno - „Wycieczka na Łomnicę".

Chałubiński niewiele szczytów zdobył w Tatrach, niewiele nowych dróg odkrył. Na podkreślenie zasługuje tylko przejście Koziej Przełęczy, II zejście z Gierlachu do Doliny Batyżowieckiej, wejście na Kołowy Szczyt nie zwiedzony od czasów Staszica, przejście Zadniej Piarżystej Przełęczy i zejście z Lodowego Szczytu wprost do Doliny Pięciu Stawów Spiskich.

Wyższy poziom sportowy uzyskały wycieczki syna pana Tytusa - Ludwika Chałubińskiego - zdobył on m. in. już w 1877 roku Mięguszowiecki Szczyt i zeszedł jako pierwszy z Durnego Szczytu do Pięciu Stawów Spiskich, ale że mu brakło ojcowskiego poloru, osiągnięcia te zatraciły się wśród innych, a po części poszły nawet w zapomnienie, jak bez echa przebrzmiała taternicka działalność syna Ludwika, a wnuka Tytusa

Jan Krzeptowski Sabała

- Tytusa Chałubińskiego juniora, który w młodym wieku zginął na wspinaczce w północnym żlebie Niebieskiej Przełęczy w 1933 roku.

Ale rok 1873 nie tylko dzięki pojawieniu się Chałubińskiego w Tatrach przeszedł do kroniki taternictwa jako rok przełomu. W tym samym roku powstała pierwsza społeczna organizacja turystyki górskiej w Polsce - Towarzystwo Tatrzańskie.

Dzieje tego towarzystwa, nazwanego dopiero po 1918 roku Polskim Towarzystwem Tatrzańskim i istniejącego do roku 1950, nie łączą się bezpośrednio z dziejami polskiej turystyki wysokogórskiej i polskiego alpinizmu odkrywczego, było bowiem ono organizacją uprzystępniającą i upowszechniającą góry już odkryte i zwiedzone. Ale zasługi T.T. nie mogą być pominięte ani przy omawianiu rozwoju taternictwa przed rokiem 1939, ani przy omawianiu dziejów alpinizmu polskiego. Towarzystwo Tatrzańskie stało się fundamentem turystycznego uprzystępniania Tatr i nawet Podtatrza, rozkrzewiło idee ochrony przyrody. Z łona T.T. wyrosły po latach specjalne organizacje taternickie i narciarskie. W późniejszym Polskim Towarzystwie Tatrzańskim znalazła wreszcie najlepsze poparcie polska ekspansja wysokogórska.

Budowa schronisk i znakowanych ścieżek - pierwsze zagospodarowane schronisko po polskiej stronie Tatr powstało nad Morskim Okiem w 1874 roku - propaganda Tatr w słowie i piśmie - to zasługi Towarzystwa Tatrzańskiego, które walnie przyczyniło się do rozrostu ruchu taternickiego. Przed objęciem kierownictwa T. T. przez „ochroniarzy" posuwało się ono czasem nawet zbyt daleko. Z punktu widzenia racjonalnej turystyki nie może dziś znaleźć uznania fakt poparcia i sfinansowania częścio-

wo przez T.T. budowy sztucznej ścieżki granią odcinka Tatr polskich, tzw. Orlej Perci, ścieżki, którą z inicjatywy taternika Walentego Gadowskiego i turysty Franciszka Nowickiego, autora cyklu sonetów tatrzańskich, zbudowano w latach 1903-1906. Niemniej i budowa Orlej Perci świadczy na swój sposób o żywych związkach T. T. z wysokogórską turystyką tatrzańską.

Spośród bardzo licznych działaczy i pracowników T.T. mieli niektórzy zasługi i dla taternictwa - jak Walery Eljasz, malarz i autor przewodników oraz opisów wycieczek, jak również Leopold Świerz, niestrudzony wieloletni sekretarz T. T. i propagator turystyki, także zimowej.

Walery Eljasz Radzikowski, Franciszek Nowicki, Walenty Gadowski

Od samego początku swego istnienia przejęło też T.T. opiekę nad przewodnictwem góralskim, czyli nad tymi ludźmi, którzy byli właściwymi realizatorami osiągnięć taternickich aż po pierwsze lata XX wieku. Chociaż bowiem inicjatywa wycieczek Chałubińskiego i jego następców należała do „ceprów" - wykonanie było wyłączną zasługą górali. Należy stwierdzić: ani Stolarczyk ani Chałubiński, ani nawet Pawlikowski i Chmielowski (ten ostatni - w początkach swej działalności) nie byli taternikami samodzielnymi w nowoczesnym, sportowym rozumieniu tego słowa. Prowadzili ich, wyszukiwali dla nich drogę skalną, opiekowali się nimi troskliwie górale-przewodnicy, którzy jako organizacja przetrwali do dzisiaj, chociaż sportowe ich znaczenie znikło z chwilą ostatecznego usamodzielnienia się taterników.

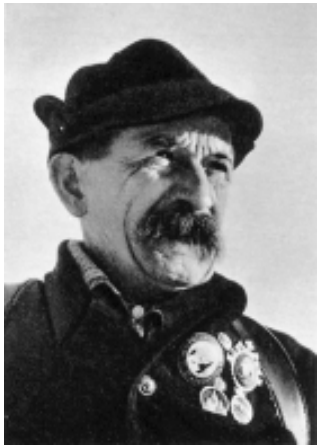

Słynni przewodnicy góralscy - Klemens Bachleda, Jędrzej Marusarz, Wojciech Roj i Stanisław Gąsienica Byrcyn

Dlatego należy już tutaj podkreślić zasługi tych przewodników starszej daty, owych Gąsieniców i Rojów, Tatarów i Giewontów, Obrochtów i Walów, którzy sprawnie i bezpiecznie wodzili swoich „panów" po halach, siodłach i wierchach. Wymieńmy przynajmniej trzech najwybitniejszych przewodników

Chałubińskiego i Pawlikowskiego. Byli to Jędrzej Wala i Maciej Sieczka, zdobywca m. in. Jastrzębiej Turni, oraz zmarły w sędziwym wieku Szymon Tatar starszy. W młodszym pokoleniu wyróżnili się tacy przewodnicy, jak Jędrzej Marusarz, Jan Bachleda Tajber, Józef Gąsienica Tomków, Stanisław Gąsienica Byrcyn, Jan Gąsienica Ciaptak, paru Krzeptowskich, a przede wszystkim Klemens Bachleda. Znakomity ten człowiek gór, najwybitniejszy góralski zdobywca Tatr, któremu z południowej strony Tatr dorównał tylko jeden przewodnik spiski Jan Franz senior, zdobył szereg szczytów i odkrył dziesiątki nowych dróg, „lat przeszło trzydzieści spędził w trudach, grozach i triumfach taternickich i wychował całe dwa pokolenia taterników", „król przewodników tatrzańskich", jak go nazwał najwierniejszy jego druh górski Janusz Chmielowski. I Bachleda oddał swe życie służbie górskiej - dnia 6 sierpnia 1910 roku zginął na północnej ścianie Małego Jaworowego Szczytu, niosąc ofiarną pomoc taternikowi Stanisławowi Szulakiewiczowi, który na tej groźnej, wówczas jeszcze dziewiczej ścianie uległ śmiertelnemu wypadkowi.

Góral-przewodnik od lat przestał być kierownikiem wypraw taternickich i niezbyt często się zdarza, by był w ogóle towarzyszem skalnych wypraw. Ale taternicy pamiętają zawsze, że bez góralskiego przewodnika nie byłoby całej epoki w taternictwie i że taterników z miast łączyła wówczas z ich przewodnikami „pogodna przyjaźń", jak to określił Chmielowski. Nie zapominają też taternicy, że przewodnicy-górale nieśli i niosą zawsze ofiarną pomoc w wypadkach górskich. Toteż choć rola górali w taternictwie jest dzisiaj skromna, prawie niewidoczna, taternicy żywią dla górali związanych z Tatrami zawsze gorące uczucia sympatii.

Niemal równocześnie z Chałubińskim wstąpił w taternickie szranki Jan Gwalbert Pawlikowski, którego M. Świerz nazwał słusznie „pierwszym nowożytnym taternikiem". Taternicka działalność Pawlikowskiego była efemeryczna. Bo choć całe życie interesował się on Tatrami i na starość wyrósł na najwybitniejszego orędownika idei ochrony przyrody, czynnej kariery taternickiej wyrzekł się bardzo rychło, już po 26 roku życia.

Niemniej w tym krótkim okresie, zacząwszy od udziału w wyprawach Adama Asnyka (pierwsze wejście w 1836 roku na

Wysoką od Wagi), osiągnął wyniki na swą epokę zdumiewające: wiedziony przez przewodnika Macieja Sieczkę zdobył m. in. Kiezmarski od Kamiennego Stawu, Łomnicę od Kiezmarskiego Stawu, wdarł się na szczyt Szatana, a wreszcie wspiął się -na legendarną, sławą nieprzystępności otoczoną turnię nad Morskim Okiem, zwaną Mnichem (1879 lub 1880 roku). Pawlikowski o taternikach swej epoki głosił, że „chodzili w Tatry nie tyle dla zdobywania szczytów, ile dla życia po halach", o sobie samym mówił, że „chodząc po górach odświeżał tradycje zbójnickie, chciał utożsamić się całkowicie z góralami". Na Tatry, jego zdaniem, patrzono wówczas tylko „góralskimi oczyma". Praktyka Pawlikowskiego przeczyła jednak tym założeniom. Dla momentu estetycznego - w stylu taternictwa epoki Chałubińskiego Mnich nie przedstawiał żadnego sensownego celu podobnie jak wejście na Łomnicę od śniegów Doliny Dzikiej, gdy szczyt ów można było o ileż łatwiej osiągnąć od strony południowej. Toteż mimo góralskiego kamuflażu wyprawy Pawlikowskiego napotkały w

Jan Gwalbert Pawlikowski, Karol Potkański, Adam Asnyk

ówczesnej opinii turystycznej zrozumiałą, ostrą krytykę i stały się jedną z przyczyn, choć na pewno nie wyłączną, przedwczesnego wycofania się Pawlikowskiego z czynnego uprawiania taternictwa. Przykładu jego nie podchwycili inni. Przez sporo lat jego taternictwo pozostało zjawiskiem odosobnionym. Jedynie Karol Potkański, zdobywca Cubryny i Małego Ganku, naśladował go w ponownym wdarciu się na Mnicha, co zresztą

Dawna odznaka Towarzystwa Tatrzańskiego, odznaka Sekcji Turystycznej T.T. i dawna „blacha" przewodników góralskich (I klasa)

opinia statecznych turystów przyjęła z drwinami i urąganiem. Zasada „widoku" ciążyła złowrogo nad turystami, którzy w latach 1880-1900 wchodzili w taternictwo.

Indywidualność Tytusa Chałubińskiego wywarła przemożny wpływ na wiele lat taternictwa, na cały okres, który nazywamy popularnie „epoką Chałubińskiego". Stąd, gdy mistrza zabrakło, dały się zauważyć elementy zastoju, cofania się, nawet upadku taternictwa. Pod względem ilościowym ruch taternicki nie osłabł, podobnie jak nie zmniejszył się ciąg mieszczan do „letniej stolicy Polski". Ale zdobyczom ówczesnym zabrakło śmiałości i inicjatywy, poruszano się przeważnie w granicach zakreślonych przez taternickie horyzonty Chałubińskiego, a w najlepszym razie Pawlikowskiego. „W latach tych nie było ani jednej nowej myśli w taternictwie, ani jednej wycieczki, która by pod jakimkolwiek względem postęp przyniosła, - charakteryzował ten okres późniejszy historyk taternictwa Kordys w 1913 roku - nawet pod względem techniki wspinania, gdzie postęp jest najłatwiejszy, widać raczej cofanie się." Ocena ta pasuje nawet do najlepszych tego okresu, takich jakimi były na przykład dwie wycieczki z 1893 roku: wejście znakomitego zoologa Władysława Kulczyńskiego na Kozi Wierch od północy żlebem, który później nazwano jego imieniem, oraz wyprawa dwu taterników, Jana Fiszera i Michała Siedleckiego, na Durny Szczyt od Klimkowej Przełęczy.

Do przypadków raczej niż sukcesów będących wynikiem systematycznej działalności taternickiej należy w tych latach

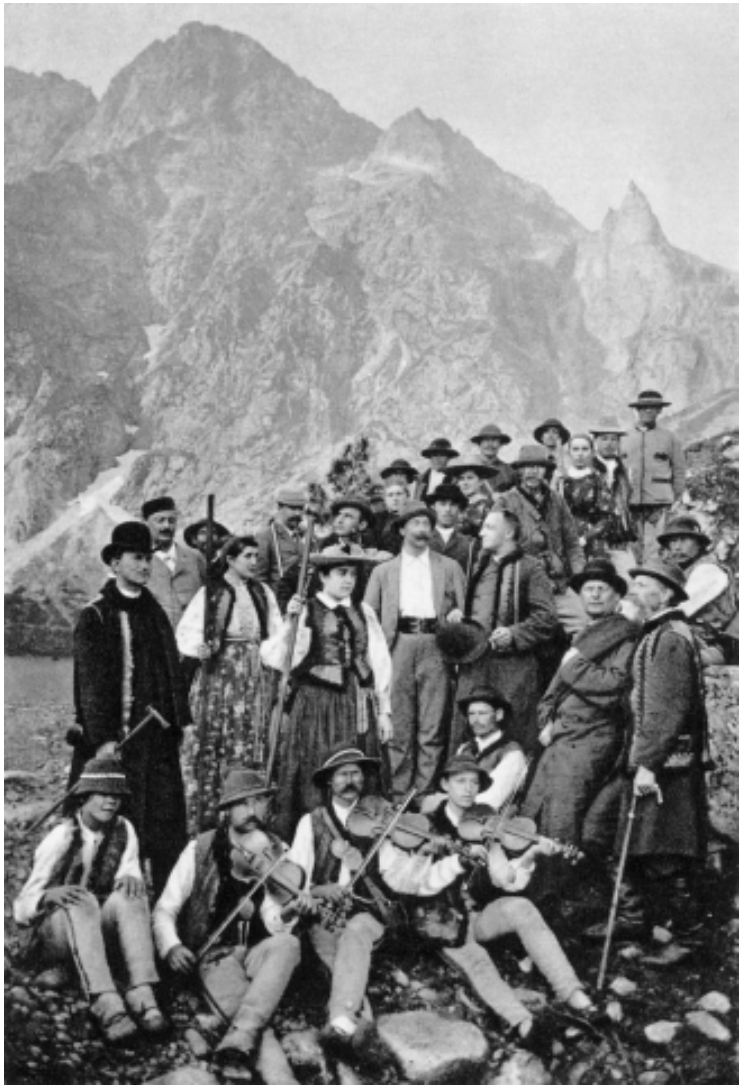

Pamiątkowe zdjęcie sprzed stu lat z jednej z wycieczek Towarzystwa Tatrzańskiego do Morskiego Oka

zdobycie Staroleśne j, które w 1892 roku przypadło w udziale turystom niczym później w taternictwie się nie wyróżniającym

(byli wśród nich Kazimierz Tetmajer i Tadeusz Żeleński-Boy). Oczywista to zasługa wiodących ich górali, wśród nich młodego Klimka Bachledy.

Nie przewyższył również sukcesów Potkańskiego Władysław Kleczyński, któremu udało się w 1895 roku wejść pierwszemu na szczyt Ganku (znowu zasługa Bachledy) zażywającego takiej sławy niedostępności, jak przed nim Mnich, a po nim Ostry Szczyt i Żabi Koń. Nawet i ten sukces niezależnie od swego sporadycznego charakteru mieścił się całkowicie w ramach epoki Chałubińskiego.

Wyrazem zewnętrznym tego zahamowania taternictwa przy równoczesnym jego nasileniu wszerz był „Ilustrowany Przewodnik do Tatr, Pienin i Szczawnic" Walerego Eljasza, ilustrujący doskonale poziom ówczesnego polskiego taternictwa. Staromodny pogląd, o party na założeniu, że turystę prowadzi obeznany z terenem góral-przewodnik, w porównaniu z sytuacją w Alpach był już anachroniczny. Dowodem ówczesnego upadku taternictwa był również niemal całkowity zanik taternickiego piśmiennictwa.

Po roku 1900 impas w taternictwie polskim został jednak przełamany. Przyczyniło się do tego ożywienie sporu granicznego o Morskie Oko, który to spór zakończył się w 1902 roku zwycięstwem strony polskiej. Z wyroku Międzynarodowego Trybunału Rozjemczego przyznano sporny teren w całości Galicji, co skierowało uwagę całej Polski na sprawy górskie. Przyczyniła się też do tego zainteresowania taternictwem inicjatywa Karola Englischa i Janusza Chmielowskiego.

Jakkolwiek Karol Artur de Englisch Payne organizował swe wycieczki po południowej stronie Tatr, chodził niemal wyłącznie z przewodnikami spiskimi i opisywał swe sukcesy systematycznie tylko w organie Węgierskiego Towarzystwa Karpackiego, musimy jego wybitną, choć w tak przykrych i kompromitujących okolicznościach przerwaną działalność wysokogórską wpisać do dziejów taternictwa polskiego: nie tylko dlatego, że Englisch był krakowianinem, ale również i dlatego, że polskość swą wyraźnie i niejednokrotnie podkreślał. W latach 1897-1903 dokonał Englisch, częściowo w towarzystwie swej matki Antoniny, wielu

pierwszych wejść w Tatrach m. in. na takie szczyty, jak Solisko, Zmarzły Szczyt, Dzika Turnia, Mały Jaworowy Szczyt, Jaworowy Szczyt, Mały Kościół, Czarny Szczyt i Mały Kołowy Szczyt. Znalazło się również wśród jego pierwszych wejść zdobycie Ostrego

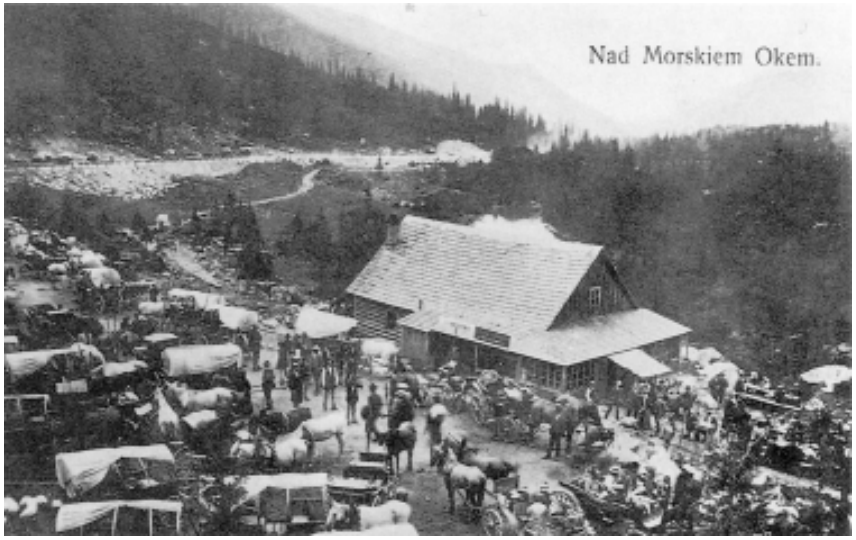

Widokówka z roku 1906 ze starym schroniskiem nad Morskim Okiem

Szczytu dnia 25 sierpnia 1902 roku. Szczyt ów bowiem uchodził za najbardziej niedostępny z niedostępnych i wejście nań słusznie określone zostało przez Kordysa jako „kamień węgielny nowoczesnego taternictwa".

Englisch był jednak niepohamowanie ambitny, do tego stopnia, że nie wystarczyły mu rzeczywiste, wybitne zresztą sukcesy, i jął dodawać do nich różne nieprawdziwe, kłamane. Wykrycie jego mistyfikacji trwało parę lat. Sprawa zdobyła sobie w międzynarodowym alpinizmie smutny rozgłos, a otoczony powszechną niechęcią Englisch porzucił Tatry na zawsze. Tak niesławnie zakończyła się kariera taternicka człowieka, który pierwszy w okresie ogólnego upadku turystyki tatrzańskiej zwrócił się ku zadaniom prawdziwie wysokogórskim i który był jednym z pierwszych na gruncie taternictwa ludzi, uzbrojonych nowocześnie do walki z urwiskiem skalnym. Inicjatywa Englischa

nie miała sobie równej w owych czasach, a jego program chodzenia wyłącznie nowymi drogami dał mu przewagę nad wielu choćby i sprawniejszymi odeń rówieśnikami. Wyprawy Englischa niewątpliwie dążyły do rozszerzenia możliwości taternickich, czyli atakowały całkiem świadomie rekord taternicki. Przyczyniły się też poważnie do poszerzenia znajomości Tatr.

Jan Alfred Szczepański

ciąg dalszy - w następnym Wołaniu

Chodzić, czy nie chodzić - czyli ochrona przyrody, a turystyka w TPN

Chodzić, czy nie chodzić, lub „być, albo nie być" - ów hamletowski dylemat pojawia się i nurtuje wielu z tych co po Tatrach chodzą. Mimo iż to już XXI wiek, a my ciągniemy do Unii Europejskiej - to w dalszym ciągu pytanie pozostaje bez odpowiedzi.

Pytanie owo coraz częściej zadaje sobie wielka rzesza turystów wysokogórskich. Turysta wysokogórski którego tylko krok dzieli od taternictwa formalnie w Polsce nie istnieje i jak na razie (w przypadku TPN) nie ma racji bytu. Niesłusznie włożony jest do wspólnego worka turystyki górskiej, razem ze „spacerowiczami" na drodze do Morskiego Oka i innymi pseudoturystami, którzy w największym stopniu szkodzą naszym maleńkim Tatrom i od lat są solą w oku ochroniarzy. Dzięki tej właśnie „stonce", lub „gawiedzi turystycznej" TPN trwa na stanowisku niewpuszczania na nieznakowane ścieżki sporej części miłośników Tatr, którzy sami nie będąc stricte taternikami w końcu zniecierpliwieni idą „na lewo", choć swym zachowaniem nie zagrażają tatrzańskiej przyrodzie.

Ruch turystyczny w Tatrach regulują przepisy TPN. W nich to czytamy, że „Po terenie Tatrzańskiego Parku Narodowego można się poruszać wyłącznie po znakowanych ścieżkach". Ścieżka jest logiczną drogą, kiedyś zbudowaną, lub wytyczoną i chęci by z niej korzystać są całkiem normalne.

Tatrzańskie ścieżki widoczne są gołym okiem z wielu miejsc. Wiele z nich powstawało latami, w miarę rozwoju turystyki i taternictwa. Jak dotąd - z tych nieznakowanych mogą korzystać jedynie taternicy, pod warunkiem, że ścieżka nie przebiega przez rezerwat przyrody. Taternictwo jak wiadomo, jest kwintesencją turystyki wysokogórskiej, pozwalającej na swobodne poruszanie się po terenie skalnym.

Powstały w roku 1974 Polski Związek Alpinizmu wprowadził kartę taternika. Karta Taternika - to był wtedy upragniony glejt w Tatry. Nigdzie w świecie nie ma i nie było czegoś podobnego. Tylko u nas w Rzeczypospolitej. Trwało to latami, w latach rozwijającej się Demokracji Ludowej, gdy to nadopiekuńcza władza „matkowała" obywatelowi w wielu dziedzinach życia społecznego. Wtedy to zgodnie z ówczesnymi zasadami zaszufladkowano taternictwo w formy sportu. Wiązało się to oczywiście z pewnym dofinansowaniem działalności klubów wysokogórskich z kasy państwowej.

Ale już dziś, czyli w nowych czasach - nawet na Słowacji, za miedzą, albo raczej granią, po drugiej stronie Mięgusza, w kraju który jak się sądzi przesiąknięty był bardziej niż u nas ideą komunizmu wystarczy tylko legitymacja klubowa i już możesz iść choćby na zachodnią ścianę Łomnicy. Jeśli tylko potrafisz. Podobnie jak w krajach Unii Europejskiej, do której pono nam coraz bliżej.

W samym Polskim Związku Alpinizmu, w Klubach Wysokogórskich słychać głosy, że Karta Taternika to przeżytek, relikt minionej i niechlubnej epoki. Spora część i tak wspina się w Tatrach bez tego papierka i nic nie wskazuje na to, że to oni najczęściej ulegają wypadkom taternickim. Wypadki były, są i będą, bowiem wiele czynników ma na to wpływ. Wydawało się, że ostatni Zjazd PZA wniesie w tym zakresie coś nowego, ale to zdaje się trzeba by Mojżeszowego przykładu, by te stare nawyki i przyzwyczajenia zmienić.

Przez wszystkie lata działalności górskiej - na taternickich, wykopczykowanych ścieżkach spotykałem znajome twarze (zwłaszcza z podkrakowskich skałek), z którymi nieraz wiązałem się liną. Często szli w góry nie na wspinaczkę, lecz robili bardzo

ostre wysokogórskie wycieczki. Nie wszyscy posiadali Kartę Taternika, choć spora część to średnie i starsze już pokolenie. W zasadzie nie była im potrzebna. Lata i sezony spędzone w górach, wysokogórskie wycieczki i wspinaczki bez wypadków są dla nich znakomitą rekomendacją umiejętności. Czy tak wygląda alpinizm w sensie sportowym?

Taternikiem, czy też wysokogórskim turystą (tu granica - szczególnie gdy idzie się na łatwe drogi jest bardzo niewielka) nie jest się dlatego, że ma się jakiś papier z urzędową pieczątką, lecz dlatego, że posiada umiejętność bezpiecznego poruszania i przebywania w trudnym terenie górskim. A podstawową rolę spełnia tu motywacja by iść w te góry i być w miejscach gdzie mało kto chodzi. Alpinizm, czy też taternictwo moim zdaniem nie jest sportem. Jest wielką pasją, w której człowiek spełnia się w jakiś sposób i w jakiś sposób dowartościowuje.

Andrzej Wilczkowski na kartach swej książki pisze, że alpinizm powoli wchodzi w kości jak reumatyzm. Potem nijak nie chce wyjść. I dobrze - to tak właśnie ma tak być. Z alpinizmem oczywiście.

Dla wielu Tatry są Najpiękniejszymi Górami Świata. Za każdym razem wchodzą w te góry jak do świątyni. Takich zakochanych w Tatrach jest wielu. Zamykanie ich nic nie da!

Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że nasze góry są małe - najmniejszy alpejski masyw górski na świecie i każdy krok wymaga rozwagi. Na szczęście dyr. Byrcyn wybronił siebie i Tatry przed inwestycjami. Chwała mu za to. Mamy nadzieję, że dyr. Skawiński idzie tą samą drogą. Chcielibyśmy, by TPN w Polskim Towarzystwie Tatrzańskim TPN znalazł sprzymierzeńca, bo jak się okazuje PTTK, ów „naczelny" organ turystyki (w tym tatrzańskiej) chyba zajął się wyłącznie dochodową działalnością komercyjną związaną z ruchem turystycznym, dbając o swe finanse.

Wielokrotnie korzystając z wykopczykowanych, taternickich ścieżek zauważyłem, że nie spotyka się tam owych olbrzymich gór śmieci, które są stałym elementem na znakowanych, ogólnie dostępnych szlaków turystycznych. Świadczy to o dojrzałości i trosce o ochronę przyrody.

Nie można nie wpuszczać tych wszystkich, którzy chcą zobaczyć góry i przeżyć tam swoje być może, największe wzruszenie. Ale

można im tego nie ułatwiać. Niech Tatry pozostaną takimi jakimi kiedyś były. Można przymknąć oko na klamrowe i łańcuchowe ułatwienia na Orlej Perci. Tatry trzeba udostępniać, a nie robić z nich biznes. To jest jednak wielka i zasadnicza różnica.

Ostatni Zjazd Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego jako jedno z zadań wytyczył utworzenie Klubu Wysokogórskiego PTT. Miejmy nadzieję, że stanie się to w miarę prędko. Publikowane w czasopismach górskich listy od czytelników są być może przejawem „buntu młodych", ale poruszają ważną kwestię turystyki wysokogórskiej, która nie jest do końca alpinizmem, mimo iż ociera się o niego.

Temat turystyka tatrzańska „kontra" ochrona przyrody nie jest tematem nowym. Na łamach Taternika 1960/1 poruszał go Jan Alfred Szczepański, postać znana szeroko w środowisku taternickim. Publikujemy go na stronie następnej.

Redaktor

Rys. M. Konecki

O ochronie przyrody - bez złudzeń - artykuł dyskusyjny

W „Taterniku" 1/1967 znalazłem, zebrane pod wspólnym tytułem „Co się dzieje w Tatrach?", interesujące wypowiedzi kilku taterników, reprezentujących różne pokolenia. Wypowiedzieli się oni na rozmaite tematy sportowe i parasportowe, ale zabrakło wśród nich głosu taternika z pokoleń przedwojennych, który nie może co prawda dyskutować o nowych formach wspinaczki, o „wędkach" czy o „korbach", ale może się jeszcze zastanawiać nad sprawami tak ważnymi dla każdego taternika, jak na przykład ochrona przyrody. W tym zakresie i najmłodszym może się przydać głos wieloletniego doświadczenia i półwiekowej obserwacji zaszłych i zachodzących zmian.

Obserwacje te nie krzepią. Jestem przerażony tym, co się dzieje w naszych górach, a zwłaszcza w Tatrach. Gigantyczne plany zamiany Bieszczadów w polską Szwajcarię plany może nie całkiem realne, ale wcale nie niemożliwe, dojrzałe do wykonania projekty stworzenia Pienińskiego Morza na wzór Morza Orawskiego - są niczym w porównaniu z tym co niektórzy planiści zamierzają wyczynić z Tatrami, jeżeli ich zapędom nie postawi się tamy. Od pięćdziesięciu przeszło lat, od początku naszego wieku wznoszą te tamy ofiarnie i z uporem brygady robocze ochroniarzy, ale bywają systematycznie rozpędzane i przegrywają, oddając pozycję po pozycji. W dodatku łudzą się - lub chcą się łudzić - że ich sprawa górą, bo przecież PN Karkonoski, PN Babiogórski, PN Pieniński, P.N Tatrzański i lada rok powstanie PN Bieszczadzki. Upajają się tedy radościami i radostkami, głoszą raz za razem sukcesy i zwycięstwa idei ochrony przyrody, powołując się po. na fakt, że jakiś schron na Hali Gąsienicowej rozebrano lub że tuzin świstaków przybyło w ogólnym obrachunku. Świstaków przybywa, to prawda, na to nas stać, jak stać Amerykanów na czynną ochronę Indian, którzy się nawet rozmnażają niczym niedźwiedzie w Yellowstone. Lecz świstaki i szałasy to nie wszystko, to raczej mało - zyskujemy drobiazgi, tracimy skarby, wygrywamy potyczki, przegrywamy bitwy. Ne mijają nas i nie miną nowe kolejki i nowe wyciągi, nowe w Tatrach, nowe w Sudetach, nowe w Beskidach, pierwsze ale nie ostatnie - w Bieszczadach. Gdzież kres tej inwazji, jaka siła wzniesie tamę, która by naprawdę mogła stawić opór, opór długi i skuteczny, oznaczyć regulację i trwale ujarzmienie żywiołu? Nie widać nadziei, żywioł z siłą kataklizmu bierze górę, zagarnia, dewastuje wciąż nowe obszary. W dodatku, w swojej słusznej walne ochroniarze popełniają błędy, odrywają się od realnego świata, odtrącają sojuszników - chcąc nadmiernie pomóc, szkodzą przyrodzie i naszej wspólnej idei. A oto nowy rzeczowy dowód:

W ostatnim (1967) roczniku „Ochrony Przyrody" ukazał się, pełen najlepszej,woli, artykuł Stefana Myczkowskiego „Projekt sieci, rezerwatów

ścisłych w Tatrzańskim Parku narodowym" (por. „Taternik" 1/1968 s. 47). Niestety, projekt ten budzi zasadnicze zastrzeżenia. Jak wiadomo, TPN składa się z obszarów pozostawionych dla swobodnego ruchu taternickiego (konieczna legitymacja KW) i z rezerwatów ścisłych, przed turystami i taternikami zamkniętych. Dotychczasowe rezerwaty ścisłe obejmują uboczne i podrzędne (dla ogółu zwiedzających) rejony Tatr i bez trudu z cyrkulacji turystycznej mogły, być wyłączone. Ale apetyt rośnie w miarę jedzenia. Z czasem turystom zabroniono opuszczania znakowanych ścieżek również poza zasięgiem rezerwatów, a taternikom np. trawersowania grani Siedmiu Granatów. Obecnie Myczkowski - pod wysokim patronatem ZOP PAN i TPN - wystąpił z propozycją utworzenia w Tatrach trzynastu rezerwatów ścisłych. Trzynastu. Czyli: teoria nie licząca się z praktyką.

Gdyby bowiem plan Myczkowskiego został zatwierdzony - prowadziłby, jeśli nie zaraz to w nieodległej przyszłości, do ciągłych zatargów turystów i taterników z dyrekcją TPN. W praktyce bowiem plan ten usuwa ludzi z wielkich połaci Tatr Zachodnich i większości obszaru Tatr Wysokich. Ongiś książę Hohenlohe część Tatr Wysokich zamienił w swój prywatny rezerwat, co się spotkało ze sprzeciwem turystów i powodowało liczne zatargi z książęcymi tyrolami oraz łamanie książęcych zakazów. Nie chciałbym, aby ta tradycja przeszła na kontakty turystów ze strażnikami T1PN.

Na czym bowiem polega niezbędna ale rozumna ochrona Tatr? Nie uda się zwalczyć ciągu w stronę Morskiego Oka, znaczne schroniska są więc na trasie Zakopane Głodówka - ŁysaPolana - Morskie Oko konieczne. Nie powiodło się zwalczanie kolejki na Kasprowy Wierch, obawiam się, że nie pozostanie jedyna w okolicy. Projekt zamknięcia większości Tatr wydaje się walką pięści z kijem. W Tatrach dosyć dzieje się niemądrych poczynań antyochroniarskich (Nosal), aby im przydawać nieprzemyślane, nieżyciowe projekty ultraochroniarskie. Kwestionując naturalny rozwój turystyki i walcząc o chimery jak nieboszczyk Limanowski (na przykład w obronie owiec, mogących się zatruwać opiłkami żelaza, sypiącymi się z lin kasprowskiej kolejki) narażamy na szwank i te interesy ochroniarstwa, które mają prawo regulować życie turysty. Parki narodowe mogą w tych warunkach stracić i to, co słusznie jest ich. Są szlaki, trasy i rejony polskich Tatr Wysokich, których lepiej turystom nie odbierać (bo to się zresztą na dłuższą metę nie uda). Schron pod Rysami, kolejka na Mięguszowiecki.., to są pomysły z piekła rodem, a ścieżka ze Świnicy na Szpiglasowy Wierch byłaby burżujskim luksusem. Deglomeracja Tatr jest konieczna, ale można ją osiągnąć przez uatrakcyjnienie Gorców czy Babiej Góry, a nie przez grzywny i tablice ostrzegawcze, naród bywa przekorny, zakazów nie lubi. Rozładowanie

ścisku, rozproszenie inwazji Giewontów, Zawratów, Rysów jest niezbędne - same groźby i prośby tylko zachęcą do oporu. Kolejka na Kasprowy jest ohydą; pewne sprawy jednak załatwia, jak je załatwiają publiczne szalety. W cywilizowanych krajach szaletów przybywa. Mamy dziś kolejki i wyciągi od Czantorii do Góry Parkowej, będzie ich więcej. To dla tych, którzy gór nigdy nie pokochają, ale których instynkt stadny przymusza je zwiedzać, i których się od gór nie odepchnie. Wyżej idą turyści. Przez Zawraty nie zawsze w pojedynkę. Na Buczynowe, Liptowskie, Mięguszowieckie idą gdy już z elementarza naukę pobrali. Czy można im zabronić tych dróg, chociaż nie są członkami Klubu Wysokogórskiego i nigdy nie olśnią kraju swymi wyczynami? Snuć elitarne projekty łatwo, ale pomyślcie jak bardzo mogą zaszkodzić.

Musimy część Tatr odpisać na straty tylko w ten sposób uratujemy resztę. Gdy wędrowałem za młodu po Tatrach Słowackich mogłem, w pełni lata, być wraz z moimi towarzyszami przez czterdzieści dni jedynym gospodarzem rejonu Łomnickiegc Stawku, promieniejącego osamotnieniem. Co się dzieje dzisiaj nad Łomnickim tzw. Stawkiem możecie opisać dokładniej niż ja. Ale Czarna Jaworowa, ale Niewcyrka są ocalone. Pamiętam czasy, w których Hala Gąsienicowa zionęła w styczniu taką pustką, iż klucze do jedynego małego schroniska PTT mogłem był swobodnie wypożyczać w Zakopanem. Nieco później to samo miałem z kluczami do starego schronu PTT na Pysznej. Dzisiaj co się dzieje cały rok na Hali Gąsienicowej, a Latem i zimą na Ornaku, możecie opowiedzieć dokładniej niż ja. Ale Kamienne, ale Waksmundzka są samotne, nie niepokojone, bezpieczne. To jest mądrość. I dlatego ufam, że przyszłe pokolenie też jeszcze zazna samotności w ostępach nad Roztoką czy w zakamarkach Czerwonych Wierchów.

Warunek jest jeden: nie zamykając Tatr sprzed żadnym turystą - bo takie zamknięcie jest niedemokratyczne i na dłuższą metę nie do utrzymania - wolno je uniedostępnić nauce turystyki, tak jak uniwersytety nie są dostępne młodzieży szkół podstawowych i średnich. Tatry nie nadają się na teren szkolenia turystycznego, powody każdy taternik wyliczy z łatwością. Postuluję zatem walkę o zakaz wstępu w głąb Tatr wszelkim wycieczkom szkolnym, gromadzkim, jakim chcecie - słowem, wszelkim wycieczkom zbiorowym* . Tatry powinny być zarezerwowane wyłącznie dla turystów indywidualnych, ale zato wszystkich i nieomal (wszędzie a jedyne zbiorówki jakie mogłyby W Tatrach działać to taternickie obozy szkoleniowe, letnie i zimowe. Taternik i turysta powinni mieć prawo swobodnego poruszania się po Tatrach, ale turysta, a nie wycieczki zbiorowe, dezorganizujące i dewastujące racjonalne turystyczne użytkowanie gór Wysokich. Trzeba by, niestety, dopuścić trzy wyjątki: wycieczki autokarowe do Marskiego Oka, zwiedzanie Doliny

Kościeliskiej i namolną inwazję Kasprowego. Ale na tym koniec. Dla wycieczek zbiorowych, dla wszelkich rajdów od schroniska do schroniska, dla szaleńczego w swej lekkomyślności pałętania się przedszkolaków po Giewontach, a szkolnej młodzieży po Świnicach i Rysach nie powinno być absolutnie miejsca. Absolutnie, więc bez wyjątku. Wtedy i nieszczęść będzie mniej i wyzywania fortuny i nastąpi bardziej niż obecnie racjonalny dobór, bo ludzie o instynkcie prawdziwie turystycznym drogę do indywidualnego uprawiania turystyki i tak znajdą.

Musimy skończyć z dogmatyzmem ochroniarskim, z żałosną polityką ochraniania róż gdy płoną lasy. Tym bardziej musimy walczyć z rewizjonizmem antyochroniarskim, pchającym w Tatry motocyklistów, uczniów, harcerzy, wycieczki gromadzkie i stadne. Musimy skończyć z tym wszystkim co jest antyturystyką pod oszukańczym szyldem popierania turystyki masowej. Wtedy może i w roku 2000 Tatry będą ocalone - dla przyrody i dla turystów.

Jan Alfred Szczepański

* W r. 1968 władze oświatowe NRF wydały przepis .zabraniający prowadzenia w góry wycieczek szkolnych wyżej niż warstwica 1800 m. W Tatrach odpadłby więc nie tylko Zawrat, ale nawet Giewont. (Red.)

Rakietą po Polsce

Gdzie można znaleźć świeży i dziewiczy śnieg, zagłębić się w cisze ośnieżonych lasów i śledzić ślady zwierząt na białych zboczach, czy po prostu powędrować grzbietami górskimi w samotności. Istnieją jeszcze takie miejsca? Dla niejednego zwolennika „rakietowego" przemierzanie białych przestrzeni jest to już tylko marzenie. Grupa Francuzów w poszukiwaniu nowych zimowych krajobrazów wybrała się w Beskid Sądecki. Co prawda Francuzi maja cudowne góry i pagórki, narzekają jednak, że coraz mniej maja śniegu! Przemierzanie zimowych szlaków na rakietach stało się w Europie zachodniej bardzo modne. Adeptami są wszyscy, dziatwa i starszyzna, sportowcy i turyści, każdy kto lubi kontakt z przyrodą i czynny wypoczynek.

Gdy tylko Francuzi, uzbrojeni w rakiety, pokazali się w okolicy Jaworzyny Krynickiej zebrała się wokół nich grupka gapiów. Co bardziej śmielsi pytali dyskretnie niespodziewanych przybyszów: skąd to macie, ile kosztuje, gdzie można kupić? Odpowiedziawszy na wszelakie pytania, pognali zapaleńcy leśnymi zakamarkami w dziewiczy śnieg.

Trudno opisać jak wielkie było zdziwienie gawiedzi, gdyż przybysze nie zapadali się w śniegu po pas. Wydawało się, że przy pomocy czarów poruszają się sprawnie do przodu. Szli trasami wzdłuż grzbietów górskich, lub zygzakowali miedzy jodłami. Trasy w górach zimą zieją pustką, tylko ślady zwierząt świadczą o istniejącym tam życiu. Wieś za to tętni życiem. Dla Francuzów było to olśnienie - zachwycało ich wszystko - dymiące kominy, psy w budach a nie na kanapach w salonie, a przede wszystkim ludzie. Nie dziwiło mnie to, że przybysze pragnęli bardziej przebywać w pokojach gościnnych u ludzi roli, niż w pensjonatach. Bliżej życia, rzeczywistości i naturalności, to było ich motto. Z pobytu u gospodarzy zapamiętałam kilka scen. Franscois z kieliszkiem wódki, przylepiony do pieca, prowadził ożywiana konwersacje, pomagając sobie przy tym rękami i nogami. Benoit wołał na pomoc tłumacza, chciał wytłumaczyć, że nie ma zamiaru uprowadzić córki gospodarza. Proponował tylko super trekking w rakietach śnieżnych. Nie muszę chyba pisać, jak wielkie było zdziwienie Francuzów, gdy zamiast śniadania składającego się z rogalika i kawy, podano im kotlet schabowy i pierogi. Zadziałało tu proste rozumowanie naszych gospodarzy - droga długa i daleka, trzeba się pożywić. Wyruszając, zabrali ze sobą Joasię, udowadniając najbardziej sceptycznym, że

sport ten jest dla każdego, nawet dla niewtajemniczonych. Wzięto mnie na przyzwoitkę i podporę moralna dla córki gospodarza, bo trzeba było ostro dreptać, gdyż dzień krotki a przed nami było 20 kilometrów w białym puchu. Wszyscy zwróciliśmy uwagę na otaczającą nas ciszę - żadnego głosu ptaka, czy szumu drzew. Nawet wielkie schronisko na Przyhybie przywitało nas tylko skrzypieniem drzwi. Ledwo przełknęliśmy jajecznice, kiedy nasz przewodnik nerwowo zerknął na zegarek. Jeszcze jedno piwko i coca cola, ostanie spojrzenie na cieple wnętrze sali i westchnienie Benoit: „Och, żeby takie schroniska były we Francji!"

I znowu byliśmy panami naszego świata rozciągającego się ze zboczy, czy to ze szczytu Wielkiego Rogacza. Kraina ciszy należała do nas. Czas naglił. Kolory pejzażu zmieniały się w promieniach zachodzącego słońca. Już o zmroku dotarliśmy do sennego miasteczka - Piwniczna Zdrój. Następne dni upłynęły nam na degustacji leczniczych wód Krynicy i Tylicza i zwiedzaniu na saniach okolicy. Ten przecudny krajobraz, ze starymi, łemkowskimi cerkwiami na długo zostanie nam wszystkim w pamięci. Na koniec zahaczyliśmy o „polski Chamonix", ale to już inna wycieczka i inna bajka...

Małgosia Bilczewska

Dzień za dniem wstawał, jasny, cichy. Słońce lśniło na skąpym śniegu, mróz zelżał nieco. Chory patrzył przymglonymi, ledwie widzącymi oczyma na Nosal, na Giewont, jakby nic z tego wszystkiego nie rozumiejąc, a właściwie rozumiejąc wszystko. Puszcza w Hlińskiej Dolinie zbliżała się ku niemu, rozmawiała z nim w języku leśnym. Wołoszyn przywalił Bystre swym ogromnym garbem, wypełnił sobą okno nad łóżkiem. Zbocza Krywania, po których hipkają kozice, nachylają się ku myśliwemu, wołają go: Sablik! Sablik !

Sablik nie słyszy. Już nie będzie chodził na niedźwiedzie. Już nie wypłaci długu wódczanego Moserowi, karczmarzowi w Kirach. Moser mu to wybaczy; błogosławionej pamięci, bo umarł.

A ilu innych już poumierało! Ilu godnych chłopców obwiesili, jego kompanów z młodości!

- Dobrzi beli towarzisia.

Weszła z panią Lilpopową hrabina Krasińska, protektorka Sabaty od lat.

- Jak się macie, Sabała?

- Jak deska zbutwiało na dyscu uśmiecha się. Podłyk. Ale sie trzimiem jakosi. Pokiel sie ta do jesce.

- Może wam zawołać księdza?

Wydął wargi. - E, po co? Mie go ta nie trza na nic. Co bede haw z parobkami ukfalowoł, kie idem do samego gazdy, to se ta ś mim uradzimy. Sami, przez parobków.

Za trzy dni było z nim już bardzo źle. Oddech miał ciężki, rzężący, nadchodziła śmierć. Pożegnał się rano z rodziną, przybyłą z Kościeliska, nie chciał ich już więcej widzieć, narobili bowiem płaczu na cały dom, a Sabała nigdy nie lubił smutku i lamentów. Obraz był rzeczywiście wzruszający. Matkę przywiózł syn na wozie, wnosił ją z bratem na rękach, aby się pożegnała z mężem; była bezwładna w nogach. I małe wnuki także przywieźli wozem.

- E dy ni ma co jojceć - zwrócił się do najstarszego syna - Ludzko rzec. Biercie sie dóma. Gazdostwa se pilnujcie. Przibocie se case ojca. Bydźcie zdrowi.

Tak napomina ich gazda, który nigdy o swoje gazdostwo nie dbał! Przez cały dzień zachowywał się pogodnie, mało zresztą mówiąc. Przyszedł lekarz, zawezwany przez gospodynię domu.

- No, jak si ę czujecie, Sabała ?

- Juzek rzodki. Nozki by jesce łaziły, miechy ta jesce chodzom, ino serce płone, haj.

- No, zobaczymy.

- Nie poradzem długo - stwierdził rzeczowo chory. - Trza sie wynosić prec ze światu mruczał. Doktor nie odzywał się nic, zbadał starego krótko, mechanicznie, powierzchownie, po czym spojrzał wymownie na panią Lilpopową w drzwiach. Ten wzrok starczył za całą diagnozę.

Po południu pani Lilpopowa raz jeszcze zaproponowała Sabale spowiednika; odmówił. Wzrok miał skierowany na góry. Ku Czerwonym Wierchom schylało się słońce w swoim krótkim, płaskim, grudniowym łuku.

- Słonko idzie ku zachodowi, na mnie cas.

Poprosił gospodynię, aby zawołała Jędrka Skupienia, sprawującego obowiązki służącego i dozorcy domu. Kiedy młody góral przyszedł, Sabała uniósł się z pościeli, odchylił koce, pokazał palcem na skrzynię.

- Ubier mie.

Na skrzyni leżało odzienie starca. Jędrek, jak przez mgłę, przypomniał sobie z lat juhasowania opowiadanie bacy o dawnym zwyczaju przodków umierania w ubraniu.

- Óno ta śmierzć mini być kaci nieobdalno. Słysem, idzie po mnie. Kaz idzies? Ku Jasiowi, ón ta juz wiy, po co. Obłócem sie, jak się patrzy. Obuć się trza.

Zesunął obie nogi z łóżka. Jędrek wdział mu spodnie białe, wełniane, proste, bo Sabała zawsze się nosił według starej mody. Koszulę wdział krótką, po pępek. Owijał mu onuce koło nóg, gorących, rozpalonych. Pomagał mu sam chory, mrucząc:

- Trza sie wej ubrać piyknie. Coby cie śmierzć spotkała godnie.

Kierpce sznurował Jędrek drżącymi rękami .

- Dej cuche. Uwyrtnij sie chybko.

Komenderował młodzieńcem, który, jak zahipnotyzowany, bez słowa spełniał rozkazy starca. Teraz mosiężną zapinką spinał mu cuchę pod szyją.

- Słysem, śmierzć chodzi kole dómu. Tup, tup, tup. Zbiyroj sie, Jasiek, idem do tobie. Tup, tup, tup. Beł z ciebie chłop przy chuci, aj, beł! Ale coz? Roki ci wysły. Cas na cie. Chyboj se

minom . No dy póde. Cemu nie? Ze śmierzciom nie bees sie przegadował.

Pani Lilpopowa płakała w kącie.

- Je dyć nie krziccie, pani - zwrócił się do niej Sabała. Umiyrać prosto sprawa. Zyłek doś na tym świecie, piyné ośmidziesiąt roków. Desce by sie i pozyło, cemu nie, nale kie juz wołajom, trza iść. Inni beli młodsi, worcejsi ode mnie, a pośli. Jako i Ik Miełoś pon Ał.ubiński. On mi stoł za ojca i za martke. I za dziecko nolepse. To beł pon, jakiego juz nie bedzie.

Skierował oczy na Jędrka, który ocierał łzy.

- Podź haw - uciął ostro. Chwycił młodzieńca za ramię, uszedł parę kroków ku drugiemu oknu, wychodzącemu na południowy zachód. - Legnem se, skoro ta po mnie przvńdzie. Ona ta nolepiy wiy, kie mo przyńś.

Ułożył się na podłodze w ubraniu jak nakazywał odwieczny obyczaj przodków na samym wyciętym prostokącie czerwonego słonecznego światła. Bo śmierć zejdzie lekko, ślizgając się po promieniach, takie było wierzenie górali.

- Chłopu nie honór w pościeli umiyrać. Kie mie śmierzć nie ucapiła w Krzywoniu abo w Koprowy Dolinie, niek mie haw biere z podłogi, ze smerecanych descek.

Leżał na gołych deskach w promieniach zachodzącego słońca, ubrany odświętnie, czekając na śmierć. Na nogach - kapelusz zatłuszczony ze skórzaną wstążką.

- Dej ciupage.

Jędrek podał mu ciupagę, konający chwycił ją w prawą rękę. Ściskał ją ze wzruszeniem jak relikwię: podpierał się nią przecież Chałubiński.

- Żłóbcoki mi połóz haw na piersiak.

Życzeniu starca stało się zadość.

- A teraz idźcie stela. Pozdrówcie mi siyćkik, pana Witkowica. Jo haw ostane som. Pani - zwrócił twarz ku Lilpopowej.

- Co wam potrzeba, Sabliku? - spytała roztrzęsiona. Siwe, do ramion długie włosy Sabałowe leżały rozrzucone na podłodze, koścista, sucha grdyka drgała nieustannie pod mosiężną sprzączką, którą była spięta koszula.

- Nic. Cobyście mi rękę podali.

Przełożył ciupagę z prawej do lewej dłoni, a prawą uścisnął rękę gospodyni. To rzecz niezwykła : Sabała podaje rękę kobiecie!

- Dzienkuje wom, zeście mie, starego dziada, przyjeni, zeście sie mie nie wrodzili, i nie pamiyntojcie mi zodnego złego.

Odprawił ich oboje, lecz nie odeszli z pokoju. Wcisnęli się w kąty i płakali, pragnąc ukryć, stłumić szloch, aby nie zakłócić ciszy, w której Sabała oczekiwał śmierci. Nie musiał czekać długo. Umarł spokojnie i wnet, albowiem kiedy słońce zgasło za Czerwonymi Wiechami, zszarzała i twarz Sabałowa na podłodze. Góral nie poruszał się więcej. Głowa z rozsypanymi włosami zmartwiała, grdyka znieruchomiała. Jego ciało długie, szczupłe wyciągnięte w leżeniu, przekreślało na ukos deski podłogi. Było już umarłe.

Maskę pośmiertną zdjął nauczyciel szkoły snycerskiej, Nalborczyk. I odtąd w setkach reprodukcjach ta ściągła twarz o orlim nosie i siatce zmarszczek stała się jeszcze bardziej znana w całej Polsce. Umarł według obrządku starożytnych przodków, w całkowitym milczeniu. Kto wie, może tak jak oni wyobrażał sobie, że odchodzi w krainę szczęśliwych łowów i złota, którą wyznawcy nowych czasów nazywają niebem? Nie doczekał się w Zakopanem świstu lokomotywy, blasku elektryczności; ostatni człowiek dawnych czasów, półślepy, analfabeta, którego usta rozsławiły ginący świat gór i dały świadectwo dniom, ktore minęły. Szkoda, że tak późno spotkał swojego Wtkiewicza. I szkoda, że tylko jeden pisarz go opisał. A nikt mówienia jego wierniej nie spisał; które wraz z nim przepadło.

Z pogrzebem były niejakie trudności, bo proboszcz odmówił religijnego konduktu i swojego w nim udziału, skoro nieboszczyk zmarł bez sakramentów, a nawet jak wieść niesie, odmówił ich przyjęcia. Górale powszechnie uważali Sabałę za niewierzącego. Dopiero wstawiennictwo kilku wpływowych osób, które pertraktowały z plebanem (między innymi Witkiewicza) sprawiło, że przed pogrzebem szedł wikary. Pogrzeb był stosownie do sławy nieboszczyka - wspaniały. W myśl życzenia, które wyraził zmarły na długo przed śmiercią pochowano go u stóp grobowca Chałubińskiego. Do trumny włożono mu gęśle i ciupagę.

I znowu kołyszą się w wietrze smreki, oraz jesiony na zakopiańskim cmentarzu. Pęksowy Brzyzek, ongiś kamienny brzeg rzeki należący do Pęksów przyjął w swoje łono ciało Jana Gąsienicy Krzeptowskiego zwanego Sabałą. Umarł bujny, mocny syn ludu, sękata gałąź płodnego rodu.

No cóż? Poszedł do ziemi. Ale tam rozłoży się w proch, przeniknie do gleby, zapłodni sokiem korzenie, wyśmignie rośliną, drzewem i przerodzi się na powrót w ziemię ojczystą. Będzie tu szumiał wiatrem, płynął wodą. Pozostanie tu na zawsze. Będzie żył nadal, jak wszyscy ci, którzy, jeśli nie za życia, to po śmierci stali się bohaterami.

wybrano z książki Jalu Kurka „Księga Tatr”